Wyprawa na Kilimandżaro od drzwi kuchennych

czyli o doli tragarza w erze globalnej turystyki

Joanna Kubiakowska, Moshi, Tanzania

Obecnie doświadczamy nagłego wzrostu dostępności transkontynentalnej turystyki. Ceny wycieczek topnieją, a zachodnia klasa średnia cieszy się, że „egzotyczne" podróże stały się nareszcie i dla nich czymś w zasięgu ręki. Spróbujmy przyjrzeć się turystycznemu biznesowi od drugiej strony, a więc z perspektywy krajów przyjmujących corocznie setki tysięcy podróżujących. Zastanawiające jest, iż wiele z tych państw, mimo rosnących lawinowo wpływów z turystyki, wciąż figuruje w statystykach najbiedniejszych społeczeństw na świecie. Warto zatem poszukać odpowiedzi na pytanie, kto jest tej sytuacji prawdziwym beneficjentem, a kto na niej traci. Przypadek tanzańskich tragarzy regionu Kilimandżaro jest dobrym przykładem na to, że rozwój turystyki odbywa się kosztem grup najbiedniejszych i najbardziej poszkodowanych.

Obrazki z wycieczki

Do Tanzanii, kraju cieszącego się sławą najbezpieczniejszego kraju w Afryce, zjeżdżają zarówno żądni widoku żyraf miłośnicy Safari, jak i *trekkingowcy* pragnący zdobyć szczyt Kilimandżaro położony na imponującej wysokości 5898 metrów nad poziomem morza. Na sławie góry zyskuje budżet Tanzanii, w którym turystyka wysuwa się na czołowe miejsce wśród zagranicznych wpływów gotówkowych. Według statystyk Tanzańskiego Ministerstwa Finansów i Gospodarki wpływy z turystyki wyniosły w 2007 roku ponad bilion dolarów. Wejście na górę, choć w gronie znawców za najtrudniejsze uznawane nie jest, wymaga dobrego stanu zdrowia, sprawności fizycznej i umiejętnego rozplanowania wycieczki. Wyprawa na szczyt trwa, w zależności od obranej trasy, od pięciu do dziesięciu dni. Władze Parku Narodowego, w trosce o bezpieczeństwo podróżników, objęły ich szeregiem przepisów. Turysta może wejść na teren parku jedynie po wynajęciu profesjonalnej asysty złożonej z kilku osób. Wycieczkę można więc odbyć tylko z przewodnikiem certyfikowanym przez Park Narodowy. To on jest szefem całego zespołu, który składa się ponadto z kucharza, przewodnika asystującego oraz obowiązkowych tragarzy w liczbie trzech na każdego turystę.

Wybierając się z miasteczka Moshi na krótką wyprawę miejscowym środkiem transportu *dala dala* (czyli wypchanym do granic możliwości minibusem), można łatwo dotrzeć pod jedną z bram Parku Narodowego Kilimandżaro. Tu szykujące się na zdobycie szczytu ekipy czynią ostatnie przygotowania. Uzbrojeni od stóp do głów w profesjonalne

ubrania i osprzęt sportowy turyści dreptają uważnie krok po kroku z rękoma wyciągniętymi do boków po rozrysowanej przez przewodnika linii. Opiekun wycieczki sprawdza w ten sposób, czy podróżnicy przed wyprawą nie mają problemów z równowagą. W tym samym czasie miejscowi pomocnicy szykują namioty i ekwipunek do wyprawy. Ich ubrania i obuwie wyglądają zupełnie przypadkowo. Standardowe stroje to T-shirty, rozciągnięte bluzy, swetry, jeansy, podniszczone półbuty lub gumiaki. O takich gadżetach jak czapka, rękawiczki czy okulary przeciwsłoneczne raczej nie ma mowy. Znoszą po kolei baniaki z wodą, prowiant, kuchenki gazowe, naczynia kuchenne, przenośne krzesełka i stoliki, naftę, namioty kuchenne, namioty do spania, karnistry z wodą i sprzęt wspinaczkowy. Mimo że wszyscy rozpoczynają tę samą wycieczkę, nie ma żadnych wątpliwości kto tu jest klientem a kto pracownikiem. Karykaturalna różnica w jakości wyposażenia pokrywa się prawie w stu procentach z różnicą w kolorze skóry. Wyjątek stanowią nieliczni Afroamerykanie. Zadaniem zatrudnionych przy wyprawie tragarzy będzie niesienie podczas wyprawy na szczyt plecaków turystów, całego wymienionego wyżej wyposażenia, jak i dochodzących w miarę wyprawy śmieci, których z uzasadnionych powodów nie można zostawiać na terenie parku. Dzięki temu turysta będzie mógł oddać się w całości rozkosznemu wysiłkowi zdobywania szczytu, a i zagrożenie zdrowotne zostanie, poprzez redukcję jego wysiłku, znacznie zmniejszone. Wtajemniczeni wiedzą bowiem, iż niebezpieczeństwo, a tym samym turystyczna ponętność *Kili*, nie polega na trudności w zdobyciu szczytu, a na imponującej wysokości góry i tym samym konieczności umiejętnego rozplanowania wyprawy w czasie pozwalającego uniknąć szoku organizmu.

Prawa człowieka płatne kartą kredytową

Niestety jednak, co dla świetnie przygotowanych i dopieszczonych turystów stanowi sportowe wyzwanie, dla ich miejscowych, odbywających wycieczkę na szczyt kilka razy w miesiącu pomocników jest poważnym zagrożeniem. W listopadzie 2002 roku National Geographic Adventure nagłośniło przypadek trzech tragarzy, którzy zaskoczeni nagłym ochłodzeniem i niezwykle silnym wiatrem na trasie, zmarli na skutek niedocieplności (*hypothermia*).[1] Według informacji Związku Tragarzy Kilimandżaro *porterzy* ubrani byli w nieprzystosowane do wysokogórskiej wspinaczki, zdecydowanie za lekkie ubrania. National Geographic podało w innym artykule, że rocznie z podobnych przyczyn ginie na Kilimandżaro od piętnastu do dwudziestu tragarzy[2]. Obok przypadków

[1] S. Keats, *Deaths on Kilimanjaro Raise Concern About Porters' Safety*, http://news.nationalgeographic.com/news/2002/11/1115_021115_KilimanPorters.html, [data dostępu: 10 wrzesień 2008]

[2] A. Olesnycky*, Carrying a heavy load,* http://www.nationalgeographic.com/adventure/0310/q_n_a.html, [data dostępu: 10 wrzesień 2008]

śmierci notuje się utraty wzroku spowodowane oślepieniem śniegiem (wspomniany wyżej nagminny brak okularów słonecznych) oraz częste odmrożenia. Wyprawy organizowane są przez tak zwanych *climb operators*, czyli zachodnie (najczęściej amerykańskie) firmy turystyczne. Po krótkim rozeznaniu w Internecie z łatwością można znaleźć setki podobnych firm oferujących przeróżne opcje wspinaczkowe. W zależności od trasy, długości wycieczki, typu zakwaterowania i liczebności grupy ceny wahają się od tysiąca do pięciu tysięcy dolarów. Praktycznie każda firma zapewnia turystom opiekę i czuły nadzór lekarza. Obowiązkowe jest poddanie się przed wyprawą organizowanym na miejscu przez firmę rutynowym badaniom lekarskim. Turyści dostają ponadto szczegółowy instruktaż, jak zachowywać się na górze w razie problemów zdrowotnych. Otrzymują polecenie, aby zgłaszać przewodnikowi najlżejsze nawet symptomy choroby wysokościowej. Dla *guida* będzie to bezwzględny sygnał do tymczasowego przerwania dalszej wspinaczki. Przywileje te nie obowiązują pracujących dla tych samych firm tanzańskich tragarzy. Im nie są oferowane ani badania medyczne przed wyprawą, ani troskliwa opieka na trasie. Znane są ponadto przypadki, kiedy tragarze cierpiący na chorobę wysokościową zmuszani byli do dalszego taszczenia bagaży na górę. Inni, po zgłoszeniu przewodnikowi choroby wysokościowej odsyłani byli na dół sami, bez żadnej asysty, co jest bezwzględnie zabronione nawet przy dobrym stanie zdrowia schodzącego. Ponadto chorym tragarzom odmawiano zapłaty ze względu na „niewykonanie pracy".

Szereg nadużyć, na osłodę napiwek turysty

Aby dojść przyczyny tych i innych nadużyć warto przyjrzeć się sytuacji prawnej przewodników i tragarzy. Przewodnik zatrudniany jest z ramienia Parku Narodowego Kilimandżaro. To otwiera mu szerokie możliwości podejmowania pracy dla zachodnich firm organizujących wyprawy na *Kili*. Dokładnie na tej samej zasadzie powinien być zatrudniany tragarz. W praktyce jednak Park Narodowy podpisuje stałe kontrakty jedynie z przewodnikami i to na nich sceduje zadanie rekrutowania tragarzy. Tu rozpoczyna się pole do nadużyć. W tanzańskim regionie Kilimandżaro załapanie się na pracę tragarza jest dla wielu niezamożnych i gorzej wykształconych osób jedną z nielicznych możliwości zarobku. Przewodnicy spośród setek czekających pod bramą parku chętnych wybierają tylko taką liczbę osób, jakiej potrzebują na rozpoczynającą się danego dnia wyprawę. Na porządku dziennym są przy tym łapówki, które osoby ubiegające się o pracę tragarza płacą *guidowi* aby ich kandydatura w ogóle została uwzględniona. Jeśli uda się dostać pracę, tragarza czeka najprawdopodobniej uiszczenie kolejnej nieformalnej opłaty dla przewodnika, tym razem jako wyraz wdzięczności za pomyślną rekrutację. Napiwek płacony jest zazwyczaj już przed wejściem do Parku. I jest to dopiero początek drogi. Przed bramą odbywa się ważenie bagażu, którym tragarz został obarczony. Według przepisów parku narodowego bagaż nie może ważyć więcej niż 25 kilogramów. W

praktyce jest to jednak ciężar znacznie większy. Jedyną wtedy radą jest kolejna łapówka – tym razem dla urzędnika parku ważącego pakunki, niezmiennie jednak płacona przez tragarza. To jemu przecież najbardziej zależy na pracy. Wytłumaczenie fenomenu ciężkich jak kamienie bagaży jest dość prozaiczne. Pensje tragarzy nie są mianowicie wypłacane bezpośrednio. Całą gażę od zachodniej agencji wspinaczkowej do ręki dostaje przewodnik – często jedyna osoba w ekipie mówiąca po angielsku. W jego gestii jest rozdzielenie dochodu między członków zespołu. Korzystniej jest oczywiście zapłacić dwóm, niż trzem czy czterem tragarzom. Wystarczy więc wcisnąć bagaże trzech podróżników na barki czterech czy pięciu tragarzy (zamiast przepisowych sześciu) i mamy czysty zysk. W praktyce więc tragarze nie dostają nawet połowy swojej minimalnej pensji wynoszącej obecnie około 8 dolarów za dzień. Jako najgorzej opłacany personel w praktyce zarabiają od 15 do 20 dolarów amerykańskich za pięcio-, sześciodniową wyprawę, czyli około 3 dolarów za dzień. Dzienna pensja przewodnika jest ponad czterokrotnie wyższa i wynosi 35 dolarów.

Długa droga na szczyt obfituje w kolejne możliwości nadużyć. Tragarze donoszą o zmuszaniu ich do zjadania resztek jedzenia pozostawionych przez turystów. Prócz tego, podczas gdy turyści śpią w luksusowych, izolowanych kompleksach chatek, tragarzy pakuje się często po pięciu do jednego łóżka w pomieszczeniach nie posiadających żadnej izolacji cieplnej. Ponadto lokalny dziennik *The African* donosi o przypadkach wykorzystywania seksualnego żon tragarzy przez przewodników, którzy pobierają w ten sposób „łapówkę": „W niektórych przypadkach żony tragarzy zmuszone są do udzielenia seksualnego napiwku zwanego *ngono*, aby kandydatura ich mężów została wzięta pod uwagę. (…) W takim przypadku tragarz wyrusza w góry z turystami, kucharzem i przewodnikiem asystującym dzień wcześniej, podczas gdy przewodnik dołącza do wyprawy następnego dnia po nocy spędzonej z żoną zatrudnionego na wyprawę tragarza."[3]

Turyści często nie zdają sobie sprawy, że tym, co skłania Tanzańczyków podejmujących pracę *portera* do przełknięcia tych wszystkich upokorzeń jest... szansa na ich napiwek. Tego zagwarantować oczywiście nikt nie może, ale z pewnością warto na niego liczyć. Jeśli bowiem się pojawia (a pojawia się zazwyczaj), wielokrotnie przekracza pensję tragarza należną za całą wycieczkę. Wysokość napiwku waha się od dwudziestu do stu dolarów. Ponadto turysta na szczycie góry, oszołomiony skalą swojego wyczynu, stawia zazwyczaj masę piwa i jedzenia dla całej ekipy. Warto zaznaczyć, że z rozmów z tragarzami i przedstawicielami Związku Zawodowego Tragarzy jasno wynika, iż żaden z nich nie życzyłby sobie ani powstrzymania napływu turystów w region Kilimandżaro, ani zaniku zawodu *portera*. Chodzi natomiast o zlokalizowanie przyczyn nadużyć i egzekwowanie praw tragarzy. Regulacji prawnych w tym względzie bynajmniej nie

[3] L. Stanley, "The plight of porters at Mt Kilimanjaro", *The African*, 22.07.2008, s.12-13

brakuje. Nie mamy więc do czynienia z legislacyjną luką, a łamaniem prawa zarówno przez Park Narodowy zezwalający na bezpośrednią i nieformalną rekrutację tragarzy przez *guidów*, jak i amerykańskie firmy, które chętnie godzą się na oszczędności w postaci wyzysku tragarzy zatrudnianych przy oferowanych przez siebie wyprawach. Głównym aktem prawnym regulującym sytuację tragarzy jest Ordynacja Parku Narodowego KINAPA z 25.07.2003. Ordynacja głosi, iż aby podjąć pracę tragarza należy poddać się badaniom potwierdzającym dobry stan zdrowia i sprawność fizyczną. Badania winne być powtarzane co rok.[4] Prócz tego wyznacza się płacę minimalną tragarza na wspomnianą wyżej sumę 8000 tanzańskich szylingów (około 8 dolarów) za dzień.

Powiew zmian?

Rozwój lokalnych związków zawodowych i organizacji w regionie Kilimandżaro może być dobrym przykładem oddolnego wykształcenia się samopomocowych organizacji egzekwujących prawa nagminnie łamane przez państwo (czyli władze Parku Narodowego) i zachodnie korporacje. Założony w 2001 roku w Moshi Związek Tragarzy Kilimandżaro (*Kilimanjaro Porters Association*) przejął na siebie zadanie certyfikowania tragarzy. Związek wysyła ponadto kandydatów na rutynowe badania lekarskie. Ostatnio udało się również wynegocjować wyższą płacę minimalną. Od 2009 ma ona wzrosnąć z 8000 tanzańskich szylingów (około 8 dolarów) za dzień do 10 dolarów za dzień. Związek walczy ponadto o skuteczne egzekwowanie obowiązku wypłacania pensji tragarza bezpośrednio przez firmę turystyczną w jej biurze, nie zaś za pośrednictwem przewodnika pod bramą Parku. To wyeliminuje możliwość inkasowania części pensji tragarza przez przewodnika w ramach kolejnej spłaty „długu wdzięczności". Związek wywalczył także prawo do przeprowadzania inspekcji na terenie Parku. Wyniki ekspertyz będą prawnie wiążące zarówno dla Parku Narodowego KINAPA, jak i dla przewodników i tragarzy.

W Moshi powstało także drugie (po Kathmandu w Nepalu) biuro Projektu Wsparcia Tragarzy (*Porter Assistance Project*). Jest to wspólny projekt Związku Himalaistów (*Himalayan Explorers Connection*) oraz Międzynarodowej Grupy Ochrony Tragarzy (*International Porter Protection Group*). Daje on tragarzom możliwość wypożyczenia na czas wyprawy profesjonalnego sprzętu sportowego renomowanych firm. Turyści kończący wyprawę mogą tam także oddać swoje górskie ubrania na użytek tragarzy. Prócz tego biuro oferuje kursy pierwszej pomocy, lekcje angielskiego i warsztaty zarządzania. *Porter Assistance Project* prowadzi również kampanie świadomościowe skierowane do turystów nawołujące do odpowiedzialnego wyboru firmy oferującej wyprawę i rzetelnego sprawdzenia warunków zapewnianych przez agencję zatrudnianej ekipie.

[4] Ordynacja Parku Narodowego KINAPA o Tragarzach, Przewodnikach i Operatorach Wycieczek z 25.07.2003

Nauka to potęgi klucz

Wyzysk tragarzy ma jednak dużo głębsze źródła, uchwytne dopiero na poziomie polityki państwowej i międzynarodowej. Te zaś wymykają się działalności nawet najskuteczniejszych lokalnych NGO-sów i stowarzyszeń. Przypomnijmy o liberalnym kursie Tanzanii pod rządami prezydenta Jakaya Kikwete. Kierunek ten daje się biedniejszym we znaki już od dzieciństwa. W Tanzanii obowiązuje mianowicie system płatnej edukacji już od stopnia średniego (*secondary school*). Opłata, często nie do przeskoczenia przez biedne rodziny, skazuje uboższe dzieci na poszukiwanie prostych, źle płatnych prac od razu po ukończeniu szkoły podstawowej. Bieda oznacza więc w praktyce brak szansy na wykształcenie i tym samym brak szansy na stabilną, lepiej płatną pracę. Sytuacja ta blokuje masy osób na pozycji niewykwalifikowanych pracowników, bez kluczowej w Tanzanii znajomości angielskiego. Mogą oni zabiegać jedynie o dorywcze, fizyczne zajęcia. Sytuacja olbrzymiej konkurencji na rynku pracy i świadomość braku innych możliwości dla poszukujących zarobku prowokuje pracodawców do nadużyć. To sytuacja psychologicznego szantażu, nie sprzyjająca bynajmniej walce o prawa pracownicze: „Nie pasuje? Na twoje miejsce czekają już setki innych". Przedstawiciele Związku Tragarzy Kilimandżaro zwracają również uwagę na aspekt świadomościowy – najczęściej nie posiadający wykształcenia tragarze utrzymywani są w dogodnym dla pracodawcy stanie nieznajomości własnych praw. Tragarze, mając na oku niewesołą alternatywę braku jakiegokolwiek zarobku, zgadzają się na wszelkie warunki podyktowane przez pracodawcę.

Brak wykształcenia daje się ponownie we znaki z upływem kilku lat. Praca tragarza jest mianowicie niezwykle niebezpieczna dla zdrowia. Normą są nabywane z czasem trudności z oddychaniem, zniszczenia układu nerwowego i artretyzm. Najprostszy uraz kończy zazwyczaj karierę tragarza stawiając przed nim egzystencjalne pytanie: co dalej? Tylko po szkole podstawowej, bez znajomości angielskiego i z nadwątlonym zdrowiem niewiele możliwości pozostaje młodym Tanzańczykom. W takiej sytuacji raczej nie warto też liczyć na pomoc tanzańskiej opieki socjalnej – ta zapewne nie nadejdzie.

Postkolonialne *dejavu*

Drugim, dużo subtelniejszym i bardziej kompleksowym zagadnieniem jest polityka turystyczna Tanzanii. Podróżując po krajach utrzymujących się w dużym stopniu z turystyki (jak w przypadku Afryki: Egipt, Kenia, czy właśnie Tanzania) trudno nie odnieść wrażenia, iż turyści traktowani są tam niemal jak święte krowy: specjalne środki bezpieczeństwa, luksusowe autobusy o „europejskim" standardzie, enklawy bogactwa w

postaci luksusowych kompleksów hotelowych, wyrozumiałość dla łamania przez zachodnich turystów wszelkich reguł kulturowych. Wydaje się zarazem, iż ten turystyczny business nijak nie przekłada się na polepszenie kondycji lokalnych społeczności, a co więcej - raczej ją pogarsza. Nie chodzi tu jedynie o brak wzrostu zamożności obywateli. Ten Tanzańczycy możliwie dyplomatycznie tłumaczą „tajemniczym znikaniem pieniędzy na szczycie władzy". (To „znikanie" odnosi się zresztą nie tylko do wpływów z turystyki, ale i dużo bardziej dochodowego handlu tanzańskimi kamieniami szlachetnymi takimi jak tanzanit, złoto i diamenty.) Problematyczność turystyki posiada jeszcze inny, społeczno – psychologiczny aspekt . Chodzi o stosowanie podwójnych standardów oraz zwyczajną dyskryminację miejscowych względem turystów. Przykładowo przewodnicy Parku Kilimandżaro wiedzą doskonale, iż solidna opieka nad turystami zostanie im pod koniec wyprawy sowicie wynagrodzona. Poza tym turysta to ten, który zna swoje prawa i ich naruszenie sprowokuje go (i jego ambasadę) do poważnej interwencji, która nie przysporzy Tanzańczykowi ani zysku, ani splendoru. Solidność i prawość wobec turysty nie przeszkadza jednakże wielu przewodnikom rażąco wyzyskiwać miejscowych tragarzy. Do sytuacji przykładają rękę w końcu i sami turyści, którzy zupełnie bezrefleksyjnie, poszukując w biednych krajach luksusowej rozrywki, odtwarzają rasistowskie kolonialne relacje. Zdarza się często, że podróżnicy nie wchodzą podczas wspinaczki w żadną interakcję ze swoimi tragarzami. Ich rola zostaje tym samym zredukowana do taszczenia bagaży. Godnym szacunku kompanem wyprawy jest jedynie przewodnik i tylko jego sportowe zmęczenie znajduje uznanie w oczach turysty. Kontakt z mniej zamożną częścią tanzańskiego społeczeństwa reprezentowaną przez tragarzy zostaje tym samym zredukowany (na szczęście turysty na szczęśliwych wakacjach) do zera. A wszelkie sygnały o łamaniu praw *porterów* można przecież poddać racjonalizacji w znanym już z niechlubnej historii Zachodu stylu. Ken MacDonald, profesor geografii z Uniwersytetu w Toronto, zauważa: „Podróżnicy wspierają nierówne traktowanie tragarzy, ponieważ są w stanie postrzegać ich jako *tych innych* lub różnice jako *naturalne*"[5]. MacDonald, który poświęcił dwadzieścia lat badań na analizie sytuacji tragarzy w Pakistanie, dostrzega korzenie takiego myślenia w kolonializmie. Przytacza dla przykładu relację francuskiego podróżnika, który w 1938 roku zdobył szczyt K2: „Ciężko było patrzeć na ich cierpienie, ale oni zdawali się go w ogóle nie odczuwać. Miało się wrażenie, że pasuje ono do nich naturalnie, tak jak naturalnie wyglądały łachmany, które mieli na sobie."[6] Dla porównania podaje dalej wypowiedź brytyjskiego alpinisty, z którym przeprowadził wywiad w 2001 roku: „Myślę że nie ma nic złego w stwierdzeniu, że oni po prostu są inni. Że z jakiś

[5] S. Gibson*, Outdoor sweatshops*, http://www.magazine.utoronto.ca/06spring/leadingedge.asp [data dostępu: 10 wrzesień 2008]
[6] Ibid.

względów, psychicznych czy mentalnych, są w stanie lepiej niż my znosić cierpienie."[7] Wniosek z takiej wypowiedzi jest prosty: *oni* po prostu nie potrzebują ochrony i zabezpieczeń, których potrzebujemy *my* – „słabsi". Ci „słabsi" posiadają jednak inną siłę: potęgę finansową, która w krajach do których przyjeżdżają na wspinaczkę (Tanzania, Nepal, czy Pakistan) daje im wolność prawie że absolutną. Przede wszystkim zaś turyści z upodobaniem korzystają z jednego przywileju bogactwa: możliwości pozostania w słodkiej nieświadomości lokalnej rzeczywistości i swojej w niej roli. Wakacje to wakacje – ma być bez problemów i smutków. Tanzańczycy szybko się zorientowali w tych nieskomplikowanych potrzebach. Na każdym więc kroku spotyka się lokalnych biedaków krzyczących za białymi turystami osławioną przez kreskówkę „Król Lew" frazę: „hakuna matata!" („nie ma problemu!"). Zazwyczaj jest to pierwsze i ostatnie wyrażenie w suahili, które zachodni turysta zechce poznać podczas swoich wakacji w Tanzanii.

[7] Ibid.